

NA PODSTAWIE POWIEŚCI POWSTAŁ FILM
„WSZYSTKIE KOBIETY MATEUSZA”



BEATA PAWLAK

ANIOŁEK

ANIOŁEK

KOREKTA

Marta Śliwińska

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI

Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Piotr Uss Wąsowicz (Fundacja Świat Ma Sens)

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Elżbieta Wastkowska

PRODUCENT WYDAWNICZY

Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU

Magdalena Kosińska

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Perfekt

© Copyright Agora SA 2013

© Copyright by Janina Pawlak, Aleksander Rogala

© Copyright by Wojciech Tochman

ISBN 978-83-268-1255-2

Warszawa 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone

BEATA PAWLAK

ANIOŁEK

NA PODSTAWIE POWIEŚCI POWSTAŁ FILM
„WSZYSTKIE KOBIETY MATEUSZA”

Pawlaczka

Beata Pawlak była reporterką, pisarką, podróżniczką, autorką „Gazety Wyborczej”, naszą Pawlaczką. Została zamordowana 12 października 2002 roku na indonezyjskiej wyspie Bali. Razem z nią zabito dwieście osób. Zamachu na nocny klub w turystycznym miasteczku Kuta dokonali islamscy fundamentaliści.

Beata pisała o islamie i o terroryzmie, ale nigdy między tymi słowami nie postawiła znaku równości. W swoich reportażach o Algierii, Egipcie i Turcji, opartych na rozległej wiedzy i wnikliwej dokumentacji, opowiadała nam o tamtejszych zwykłych ludziach. Z wielką wrażliwością pisała o Palestyńczykach i Kurdach. Stroniła od łatwych wniosków, burzyła się przeciw stereotypom. Dociekliwa, uparta. I w terroryście widziała człowieka. Zginęła z rąk tych, których próbowała zrozumieć.

Kiedy była w Warszawie, organizowała wesołe imprezy w swoim mieszkaniu na Wyścigach. Bawili się tam: Małgorzata Szejnert, Lidka Ostalowska, Mariusz Szczygieł, Jacek Hugo-Bader i wielu innych. Były konkursy, wróżby, śpiewy.

Śmierć Beaty wciąż wydaje się nierzeczywista. Może dlatego, że jej okoliczności były tak nieprawdopodobne. Wiosną tamtego roku Pawlaczka ruszyła w długą podróż po Azji. Przede wszystkim dlatego, że ciekawił ją daleki świat, interesowali ją inni ludzie. Ale też – dziś żaden wstyd mówić o tym otwarcie – nie lubiła Polski. Ojczyzna ją męczyła, drażniła, a zawodowo zwyczajnie nudziła. „Czy ja muszę pisać o polskich problemach? – wkurzała się. – Czy nie mogą tego robić inni?”.

Jak każdy nieudawany twórca Beata chciała cieszyć się swoją pracą. I dlatego, kiedy tylko nadarzała się okazja, wsiadała w samolot, by dokumentować inne kultury. W pokoju redakcyjnym zapadała wtedy dziwna cisza. Bo trzeba tu powiedzieć, że Pawlaczka miała cienki świdrujący głosik i czasem lubiła dużo mówić. Więc, bywało, oddychaliśmy z ulgą. A dzisiaj dalibyśmy tak wiele, by jej głos usłyszeć.

Ostatnią podróż, w marcu 2002 roku, Beata zaczęła w Indiach – w Kalkucie. Potem, zanim w październiku dotarła na wyspę Bali, była w Nepalu, Tajlandii, Laosie i Malezji. Po drodze uczyła się masażu, medytowała i szkicowała swoją drugą powieść. Pierwszą – „Aniolka” – zostawiła w wydawnictwie tuż przed wyjazdem. Nigdy nie zobaczyła jej w formie wydanej książki. A musiała na tę premierę bardzo czekać. Bo choć przedtem wydała dwie książki („Mamuty i petardy”, Warszawa 2001, ta miała być książką z gatunku czystej literatury, żadna relacja, żaden reportaż, tylko czysta fikcja).

Bo Pawlaczka niedługo przed podróżą postanowiła zmienić profesję. Fascynowała się karierą Katarzyny Grocholi, zrobiła z nią wywiad do „Wysokich Obcasów”. Jakby chciała trochę Grocholę podpatrzeć i z takiego pisania żyć. Dzięki tak zarobionym honorariom robić to, co kochała najbardziej: podróżować. I nie wracać do domu.

Tę drugą, azjatycką powieść Pawlaczka szkicowała w zeszytach w kratkę. Między marcem a wrześniem drobnym maczkiem zapisała dwa. Dostałem je razem z bagażem Beaty, kiedy przyleciałem na Bali chwilę po zamachu. W Polsce już wiedzieliśmy, że dotarła na wyspę dwa dni przed atakiem terrorystów. Zdążyła napisać maila do jednego z przyjaciół. A potem zamilkła. A potem przyszła wiadomość z polskiej ambasady w Dżakarcie, że w dniu zamachu rano pani Pawlak wyszła z hotelu Manik w Kucie (zajmowała tam pokój 3A) i już do

niego nie wróciła: wśród zidentyfikowanych dotąd ofiar zamachu jej ciała nie znaleziono.

Pojechałem jej poszukać. Z głową pełną pytań: czy Beata mogła porzucić wszystko i zniknąć na własne życzenie? Czy mogła upozorować własną śmierć? Po co? Wspominała czasem, że fajnie byłoby wybrać proste życie na polu ryżowym. Ale czy aby tego dokonać, trzeba zniknąć, i to w taki sposób? Może chciała, by życie samo pisało za nią tę powieść? Czy porzuciłaby swoje rzeczy w hotelu? Dwa ważne zeszyty? Własne notatki i czterysta zdjęć z podróży – rzecz dla reportera najcenniejszą? Czy po zamachu nie zadzwoniłaby do matki? Do przyjaciół, którzy byli jej bliscy i do których regularnie słała listy? Czy dziennikarka, która wiele razy pisała o terroryzmie, teraz nie nadalaby żadnej depeszy na temat zamachu, który zdarzył się w jej najbliższym sąsiedztwie (był to najtragiczniejszy zamach na świecie po 11 września)? Pisała reportaże o tym, w co ludzie wierzą, jak myślą, czego pragną, czego i kogo nienawidzą. Opowiadała o tych, którzy z Bogiem na ustach zabijają innych. Dlaczego teraz milczy? – pytałem naiwnie. Czy możliwe, że zaszyła się gdzieś w głębi wyspy i o zamachu do dzisiaj nic nie wie? Ktoś dał jej dom? Pracę? Chciałem w to wierzyć. Może nawet wierzyłem. Pawlaczka jest trochę szalona – powtarzałem sobie tę myśl – więc może robi sobie teraz głupie żarty?

W laboratoriach DNA codziennie identyfikowano kolejne ofiary: pięćdziesiątą, dziewięćdziesiątą, sto dwudziestą. Co rano otrzymywałem informację, że wśród rozpoznanych naszej koleżanki wciąż nie ma. To dawało nadzieję, oddychałem więc z ulgą, wsiadałem w samochód i jeździłem po wyspie. Rozpytywałem o Beatę, rozklejałem plakaty ze zdjęciem zaginionej, dalem ogłoszenia w kilku gazetach. Sto pięćdziesiąte ciało rozpoznane, sto siedemdziesiąte! I nic!

Zrobiłem wszystko, co przyszło mi do głowy, by Beatę odnaleźć. Łapałem się jakichś lichych tropów, by po kilku godzinach zrozumieć, że to kolejna ślepa uliczka. Identyfikacje wciąż

trwały, wciąż nie było dla mnie żadnej wiadomości, wróciłem więc do kraju. A za mną niebawem przyszła ta wiadomość. Badanie DNA nie pozostawiło żadnych wątpliwości: rozpoznano Pawlaczkę wśród ostatnich.

Beata została pochowana na cmentarzu w Milanówku pod Warszawą. Nie byłem na jej pogrzebie, nigdy nie odwiedziłem jej grobu. Lubię sobie myśleć o tej śmierci tak, jakby jej nigdy nie było. Beacie by się to chyba podobało.

Wojciech Tochman

*Ci, którzy umarli, nigdy stąd nie odeszli:
Są tutaj w gęstniejącym cieniu.
Umarli nie są pod ziemią:
Są w drzewie, które szumi,
Są w drewnie, które jęczy,
Są w wodzie, która płynie,
Są w wodzie, która śpi,
Są w chacie, są w tłumie:
Umarli nie są martwi.
Ci, którzy umarli, nigdy stąd nie odeszli,
Są w piersi kobiety,
Są w dziecku, które płacze,
Są w głowni, która płonie,
Umarli nie są pod ziemią:
Są w ogniu, który umiera,
Są w trawie, która zawodzi,
Są w skamlących skałach,
Są w lesie, są w domu.
Umarli nie są martwi.*

Wiersz Afrykańczyka,
[za:] James R. Lewis „Życie po śmierci”,
Warszawa 1999

1

W piątek Karolinie przyśniło się, że jest trupem. Całe jej ciało zaczęło zielenieć i skóra popękała jak spalona ziemia. Ale ponieważ mogła chodzić, udała się do lekarza, żeby postawił diagnozę.

Lekarz zbadał ją uważnie i rzekł:

– Istotnie, jest pani trupem.

Pomyślała, że w takim razie musi sobie załatwić pogrzeb (wszystko to we śnie). Pośpieszyła do zakładu pogrzebowego. Mężczyzna w czarnym fraku grzecznie poinformował ją o cenach:

– Będzie to panią kosztowało pięć tysięcy złotych.

– Dlaczego tak drogo?! – wykrzyknęła zgorszona.

– Dlatego – spokojnie wyjaśnił pracownik – że pani życzy sobie być pogrzebana ekspresowo.

Opłaciła pogrzeb i poszła w górę ulicy. Tam, za skrzyżowaniem ze światłami, w niewielkim żółtawym budynku mieściło się krematorium. Weszła do poczekalni, siadła na ławeczce pod ścianą z burymi zaciekami, na podłodze położyła torebkę. Gorączkowo myślała, czy zabrała wszystkie potrzebne papiery – dowód osobisty, paszport, prawo jazdy (bo przecież nigdy nic nie wiadomo), numer konta bankowego, numer PESEL, numer ubezpieczenia, ostatnie zeznanie podatkowe, a także dezodorant, który z bliżej nieznaney przyczyny wydał się jej w tej sytuacji niezbędny.

Z dziury w ścianie buchał ogień. Właśnie wsunięto tam na marach zwłoki młodej jeszcze kobiety w białej sukience,

z naszyjnikiem wonnych kwiatów na piersiach. Zatrzasnęły się za nimi ciężkie żeliwne drzwiczki z rysunkiem lilii, jakieś ręce przekręciły koło. Karolina pomyślała, że krematorium przypomina duży piekarnik, i zaraz zganila się za tę myśl. Obok mężczyzna w bezkształtnym garniturze chlapał, kryjąc twarz w rękach.

Spojrzała w okno. W dali na niewielkim wzgórzu stał jej mąż, jej dzieci, sąsiadka i rzeźnik. Uśmiechali się i machali w jej stronę białymi chusteczkami.

Karolina nie zastanowiła się wtedy, we śnie, skąd mają płóciennne chusteczki, w dodatku białe, wykrochmalone, obszyte kolorową koronką, jakich nie używało się w jej domu od lat. Ogarnął ją wstyd na myśl, że rodzina widzi ją w tak niestosownej sytuacji – kiedy jej ciało zieleniało i za chwilę zacznie odchodzić płatami. Chciała im odmachnąć i zawołać: „No, idźcie już, idźcie, nie gapcie się tak na mnie, jakbyście nigdy nie widzieli trupa!”.

Zamiast tego się obudziła. Jej policzki płonęły. W okamgnieniu ogarnęła sytuację: znajduje się we własnym domu, ulica Celołofanowa numer 11, jest noc, leży pod kołdrą, którą przed snem oblekła w świeżą powłoczkę w niebiesko-różowe paski, okno jest uchylone, świeci za nim jajowaty księżyc, szczeka pies – ten mały zajadły kundel trzy domy dalej – a ona leży w koszuli nocnej, która podwinęła jej się aż pod pachy, i nagą pupą wciska się w biodro Mateusza, swego męża. A on wyciągnął się na brzuchu i obejmując poduszkę, głośno sapie.

Za ścianą zaczął bić zegar: raz, dwa, trzy. Trzecia – trzeźwo zauważyła Karolina, bo Karolina zazwyczaj była trzeźwa. Uniosła się na rękach, stęknęła, wsunęła rękę pod kołdrę i opuściła koszulę nocną aż po kolana. Potem przewróciła się na drugi bok. Chciała poważnie rozważyć sprawę życia i śmierci, zastanowić się, westchnąć metafizycznie, ale pomyślała jasno i beczelnie: A gdybym tak umarła we śnie?

Co nie byłoby takie dziwne, przekroczyła już przecież siedemdziesiątkę. Swoje w życiu zrobiła: przeżyła wojnę i komu-

nizm, doczekała się kapitalizmu, wydała na świat dwoje dzieci i miała dwoje wnuków, ciężkich grzechów nie popełniła, dorobiła się domku z ogródkiem na skraju niewielkiego miasta we wschodniej Polsce i choć domek był niewielki, raptem dwie sypialnie i salon, to przecież taki przytulny z tymi grubymi dywanami, specjalnie sprowadzonymi z Kowar, z kominkiem w salonie, pelargoniami w oknach i z obrazami tchnącymi wiosną i spokojem. Czegóż więcej Karolina mogła się spodziewać od życia? Przecież nawet dożyła dwutysięcznego roku, co traktowała jak pobicie jakiegoś rekordu.

Prawdę mówiąc, już nawet nie myślała, że się bardziej zestarzeje. Jej własny widok doprowadzał ją do rozpacz. Choć jak na swoje lata wyglądała jeszcze zupełnie dobrze. Niska, krucha, trochę otyła, ale jeszcze całkiem zgrabna. A te nogi! Zmarszczki na jej twarzy nie były głębokie, prócz dwóch, które biegły od ust w dół. Ale gdy się uśmiechała, choć robiła to zdecydowanie zbyt rzadko, wtedy nawet te dwie zmarszczki promieniały.

Czegóż w jej wieku mogła jeszcze się spodziewać?

Rzuciła okiem na szafkę nocną i na drewnianego aniołka, który siedział po turecku obok budzika, zamknęła oczy i z całych sił się pomodliła: Drogi Aniele Stróżu, wiem, że nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym nagle zmarła, ale czy mógłbyś sprawić, że jeśli umrę we śnie, to nie z zadartą koszulą nocną? Amen.

A gdyby jednak...? Gdyby znaleźli ją martwą w jej własnym domu, w łóżku, we wrzosowej koszuli nocnej zrolowanej po pachy, z wypiętą pupą...? Zachichotała nerwowo na myśl, jaką minę miałby mąż. A może Mateusz właśnie by wyjechał, bo mimo wieku często był w rozjazdach, i znalazłby ją na przykład sąsiad, ten gruby taksówkarz? Zbiegliby się ludzie, długo debatowaliby pod jej domem, wejść, nie wejść, na piętrze otwarte okno, a Karolina zawsze zamyka je na noc, wejść, nie wejść, nikt nie otwiera, i światło się paliło do samego świtu. W końcu wyjęliby kratę z okna i gruby taksówkarz wszedłby do środka. Ach,

co on by sobie pomyślał! Stukałby do drzwi i wołał: Pani Karolino! – a ona by nie odpowiadała, bo już nie mogłaby tego zrobić. Szedłby po schodach ich domu ostrożnie, niepewnie stawiając wielkie stopy w ciężkich buciorach i cały czas stukając w ścianę, wołałby: Pani Karolino, pani Ptakowa! Doszedłby do sypialni, zawahał się, podrapał w głowę, zapukał w futrynę, w końcu pchnąłby drzwi – ostrożnie, samymi opuszkami palców. Otworzyłyby się powoli, niemiłosiernie skrzypiąc (pomyślała tak, mimo że w jej domu nie skrzypiały żadne drzwi). Niemiłosiernie skrzypiąc, otworzyłyby się drzwi do sypialni i gruby taksówkarz najpierw ujrzałby snop światła wpadający ukośnie przez uchylone okno, potem Karolinę na łóżku, nieżywą, z wypiętą w jego stronę gołą pupą.

Dziergając w głowie takie, a nawet jeszcze bardziej nieprzyстойne obrazki, Karolina przywarła do Mateusza, głęboko odechnęła jego ciepłem i ponownie zasnęła.

2

Przez cały następny dzień, krzątając się po domu, bo wieczorem mieli przyjść goście, rozmyślała o dziwnym śnie. Pierwszy raz w życiu przyśnił jej się trup. Pewnie dlatego, że wczoraj oglądałam tę głupią strzelaninę na Polsacie – zganiała się w myślach, wkładając cielecinę do prodiżu. W dodatku trupem była ona sama. Jednak to niesamowite – uznała.

Gdyby Karolina wiedziała, że tego samego wieczoru umrze jej mąż, znany i poważany artysta stolarz, były wicedyrektor wytwórni mebli, a rok później – ona, emerytowana magister farmacji, ale przed śmiercią zdąży jeszcze pokochać i być kochana, może wtedy inaczej pokierowałyby własnym życiem, na przykład wytapetowałyby ściany. Ale nie miała o tym pojęcia, więc wietrząc pokoje, dziwiła się w myślach, czemu, mimo że była trupem, chodziła i mówiła. A nawet sama załatwiała sobie pogrzeb.

To najmniej powinno ją zdumiewać.

Karolina zajęła się własnym pochówkiem, gdy tylko przeszła na emeryturę. Odłożoną na ten cel okrągłą sumkę – tysiąc złotych – wsunęła do kieszeni podomki wiszącej w szafie. Kilka miesięcy później pieniądze zniknęły. Za nic nie mogła sobie przypomnieć, czy to ona je wyjęła, ale na wszelki wypadek podejrzewała panią, która na Wielkanoc myła okna, kuzynkę ze wsi, córkę, syna, na koniec własnego męża, aż do dnia, gdy – trzy lata później – malarze, którzy przysli odnowić mieszkanie, odsunęli od ściany pianino. Na podłogę wypadła niebieska koperta

z banknotami, a także dwie stare książeczki oszczędnościowe, które – była tego pewna – skradziono jej na pocztę.

Okazało się, niestety, że pieniędzy starczy już tylko na trumnę sosnową, i to bez wieka. Co przeplakawszy, Karolina na nowo zaczęła oszczędzać na własny pochówek.

Nie to, żeby cały czas myślała o śmierci, ale chciała wszystko zapiąć na ostatni guzik. To znaczy, chciała zapiąć na ostatni guzik swoje życie. Bo co by to było, gdyby nagle zmarła, a nie miałaby sukienki ani butów do trumny i pochowałiby ją w byle czym? Na przykład w tej brązowej przyciasnej spódnicy? Albo, nie daj Boże, zapomnieliby o majtkach?!

Karolina lubiła nad wszystkim trzymać pieczę i o wszystkim decydować, a przynajmniej decydować o własnym życiu. Nic więc dziwnego, że któregoś zimowego wieczoru, gdy Mateusz pojechał do Lublina, siadła przy swoim białym biurczku w sypialni, wyjęła dużą kartkę papieru i pogryzając końcówkę długopisu, spisała w punktach polecenia dotyczące jej śmierci: majtki, koszula, biustonosz i rajstopy na ostatnią drogę znajdując się w pudle po sokowirówce, a to na najniższej półce w szafie. Czarna garsonka z żorżety wisi w plastikowym worku. Czarne trzewiki stoją obok pudła.

Przez chwilę zastanawiała się nad biżuterią. Ale była osobą praktyczną. Przeraził ją i do głębi wzruszył obraz, który nagle ujrziała w swojej głowie: oto w nocy grabarz odkopuje trumnę, zrywa z jej piersi perły, ale z palca nie chce zejść złoty pierścionek, więc grabarz sięga po siekiere i... Ach... Ogromu jej wzruszenia nie pomniejszał fakt, że Karolina nie posiadała pereł, niestety.

Pod koniec zimy jej głowę zaprzął cmentarz, na którym miała być pochowana. W mieście były dwa. Jeden stary, porośły dorodnymi bukami, otoczony murem z czerwonej cegły, który tu i ówdzie się kruszył. Mogiły zdobiły krzyże z brzozy i kamienne aniołki, którym czas odtrącił skrzydła.

Drugi, nowy, leżał na wzgórzu za miastem. Pomędzy prosto wytyczonymi szerokimi alejami stały w równych rzędach duże betonowe grobowce.

Karolina lubiła rozmach i nowoczesność, dlatego bardziej podobał jej się nowy cmentarz. Powstał jednak w miejscu, gdzie w czasie wojny rozstrzelano 322 mieszkańców miasta.

Co mam robić? Tu krew, a znów stary cmentarz taki ponury – pytała Anioła Stróża, ale ten dawał jej wykrętną odpowiedź: Moja droga, sama musisz wybrać.

Stary cmentarz przywodził jej na myśl suterенę w Poznaniu, w której mieszkały z mamą tuż po wojnie; była wilgotna i śmierdząca grochówką, ulubioną zupą poprzednich właścicieli. Z powodu tej sutereny Karolina nie znosiła wszelkich staroci, zwłaszcza starych domów. Narzekała na wysokie sufity – bo ogrzewanie kosztowne; na wielkie okna – bo dużo zachodu z myciem; na długie korytarze i ciemne wnętrza – bo niehigieniczne i robi się grzyb.

Bloki z betonu, które wiele lat później specjaliści od nieruchomości będą nazywać slumsami, ją zachwycaly – mieszkania w nich były jasne, przestronne i suche, sufity niskie i okna w sam raz.

Co robić? – pytała się w myśli gorączkowo, a drugi głos, powolny i rozważny, a przy tym niższy, odpowiadał jej: Nowy cmentarz może zroszony krwią, ale tam piasek lekki i żółty, krew przez niego przeleciała i wsiąkła w ziemię głęboko. Lepiej leżeć w żółciutkim piasku niż przywalonym gliniastą ziemią.

Decyzja została podjęta. Karolina zamówiła u kamieniarza płyty z granitu w eleganckim kolorze grafitowym i wkrótce przy głównej alei, daleko od śmietnika, a blisko pompy z wodą, stanął rodzinny grobowiec. Cieszyła się, że będą leżeć pośród swoich: nogami mieli się stykać z najstarszym bratem męża, który zgnił powoli za życia (odrabano mu najpierw prawą, potem lewą nogę), a głowami – z kuzynem lotnikiem,

który roztrzaskał się w katastrofie lotniczej. Radości Karoliny nie pomniejszyło nawet to, że lotnik był przemytnikiem, co się okazało dopiero po wypadku, kiedy z jego słuchawek wyleciało radzieckie złoto.

– Mnie tam po śmierci będzie już wszystko jedno, gdzie i w czym mnie pochowają, czy ziemia będzie jasna i lekka, czy czarna i tłusta. Nawet będzie mi obojętne w zasadzie, jakie glisty, dżdżownice i inne robaki spożyją moje resztki – pokpiwał Mateusz, patrząc na jej zabiegi.

Ale Karolina postawiła na swoim.

Aniele Stróżu, jeśli ja nie dopilnuję własnej śmierci, to kto to zrobi? Sam powiedz, kto?

Spisywanie ostatniej woli kontynuowała na wiosnę, gdy w telewizji zaczął lecieć nowy serial brazylijski „Rafaella”, a cała ulica Celofanowa rozprawiała o sześciolatnim Elianie, Kubańczyku, o którego toczyła się walka między ojcem mieszkającym na Kubie a jego krewnymi z USA. Karolina uważała, że trzeba go oddać ojcu, choć mówiąc to, miała uczucie, jakby własnoręcznie oddawała dziecko diabłu.

Popołudniami przy biurku w sypialni na kartce papieru ozdobionego egipskimi bogami – był to prezent od córki Maciejki – pisała: że trumna ma być czarna i lśniąca jak wieko fortepianu (choć przez chwilę, gdy w mieście pojawiły się nowoczesne wzory, kusila ją trumna biała, później zachwyciła filuterność różowej, ale tylko westchnęła: – Nie dla mnie te ekstrawagancje), że ma być wyłożona różowym aksamitem, że na grobowcu należy wyryć jej imię, nazwisko, a przed nazwiskiem koniecznie „mgr”, a jak się zmieści i nie będzie za drogie, to nawet „mgr farmacji”.

Wydawało się, że Karolina na tym zakończy swoje przygotowania. W pewną kwietniową sobotę ze spokojnym sumieniem pojechała do Warszawy; chciała zajrzeć do mieszkania córki, którą znów poniosło za granicę.

Maciejka była reporterką w jednej z największych gazet. Pisała o wojnach. W jej mieszkaniu na ścianach pełno było zdjęć ze świata – jakieś ruiny w Bejrucie, wozy pancerne w Kurdystanie. Wisiały przywieszone z Indonezji tkaniny, rzeźby i maski, a wszystko przesiąknięte było zapachem kwiatu pomarańczy.

Karolina podlała kwiatki, wyjęła listy ze skrzynki, przy okazji przekartkowała kalendarz Maciejki – zobaczyła z ulgą, że jej dzień wypełniony jest spotkaniami – w łazience przejrzała baterię perfum, wybrała flakonik o tajemniczej nazwie Ispahan, psiknęła się za uchem i w ten sposób nawdychała się życia córki. Potem, popijając w pokoju kawę z cynamonem, przeleciała wzrokiem po książkach na półce i wśród tomów o islamie, buddyzmie i szpiegach KGB dojrzała książkę o tym, jak umierali słynni ludzie.

Przez kilka następnych dni łamała sobie głowę, jakie powinny być jej ostatnie słowa. Siadywała w fotelu pod lampą, zakładała okulary i z uwagą, nieco nawet uroczyście, studiowała książkę Maciejki. Spodobała jej się bardzo córa któregoś z francuskich Ludwików, która w chwili śmierci rozkazała swej duszy: „Szybciej! Do nieba, galopem”. Cóż za silna kobieta – pomyślała z podziwem.

Karolina koniecznie chciała wyrzec coś, co by na zawsze weszło do historii rodziny. Na przykład jak ta biedna Maria Teresa wyznać: „Oto jedyny szczęśliwy dzień w moim życiu”. A może powiedzieć jak Mata Hari idąca na stracenie: „Ależ dobrze mi się spało”. Lub też jak owa królowa Portugalii rzec: „Przynieście, proszę, krzesło dla tej promiennej damy, która zbliża się tu cała ubrana na białło”.

Karolina uznała, że to ostatnie zdanie byłoby dla niej idealne. Już czuła, jak po kręgosłupach osób obecnych przy jej śmierci leci tam i z powrotem dreszcz. Lekki niepokój wzbudziło w niej jedynie to, że królowa portugalska była również świętą.

Rozmyślania o śmierci przerwała w kwietniu, gdy w ogrodzie zakwitła morela. Potem były burze i przez jadalnię aptekarzy

Szczupaczkiewiczów przeleciał piorun – wpadł oknem koło telewizora, wypadł przez lufcik w kuchni – i miasteczko tylko o tym rozprawiało przez okrągły miesiąc. Wypadek ten zajął nawet Karolinę, choć z natury nie lubiła stadnych zachowań i w ogóle szła pod prąd.

Lato było tak piękne, że postanowiła zamknąć sprawę własnej śmierci, tym bardziej że drzewka miały w tym roku nadzwyczaj dużo owoców i od rana do wieczora zajęta była robieniem zapraw na zimę. W dodatku Mateusz znów zaczął śpiewać przy goleniu „La Cumparsită”, co oznaczało, że ma nową kochankę, i fakt ten ostatecznie przywołał Karolinę do rzeczywistości.

A we wrześniu, kiedy cały świat przygotowywał się do olimpiady w Sydney, przyśniło jej się, że jest trupem. Myślała teraz o tym dziwnym śnie, przyrządzając kolację na dziesięć osób (nie licząc dzieci). Po południu miał przyjechać z Krakowa jej syn Maciej z rodziną, a z Warszawy – córka z nowym narzeczonym.

Może tym razem to poważna sprawa – westchnęła Karolina, nachylając się nad otwartym proziskiem i sprawdzając widelcem, czy cielęcina doszła.

Zapowiedział się brat Mateusza z żoną, a także Szczupaczkiewiczowie, przyjaciele Karoliny i Mateusza od lat pięćdziesięciu.

No i skąd mi się wzięło to krematorium – kontynuowała myśl Karolina, mieszając w rondelku sos z borówek. U nich w rodzinie nikt nigdy nie został spalony i ona, Karolina, do tego nie dopuści. Póki żyję! – pomyślała, pochyliła się i delikatnie zebrała wargami z drewnianej łyżki gorące borówki. Aż nią zatrzęsło. Siedzieć w postaci proszku w metalowym pudełku?! Jak w jakiejś konserwie! – pomyślała wzburzona. Po czym trzeźwo zauważyła: – Za mało cukru.

3

Goście przybyli, jak zawsze, niepunktualnie. Pierwsza przyjechała w swoim fiacie w kolorze botwinki Maciejka z Warszawy – z pączkami od Bliklego i Piotrusiem, jak nazywała wielkiego dryblasza, na oko młodszego od niej o lat osiem. Różnica wieku mogła być jednak większa, bo Maciejka – ze swoimi krótko obciętymi włosami, wąskimi biodrami i małymi piersiami, które wyraźnie odcinały się pod zieloną bawełnianą koszulką (nie nosiła biustonoszy!) – nie wyglądała na swoje trzydzieści osiem lat.

Jej dryblas spodobał się Karolinie – cmoknął ją w rękę, zajrzał do kuchni, spróbował sosu z borówek, pochwalił, zażartował i zabrał się do ukręcania sera.

O czwartej wpadł Mateusz. Przywiózł skrzynkę orzechów oraz dwie skrzynie koszteli i z hałasem wniósł je do kuchni. Karolina wybrała jedno jabłko, umyła, ugryzła i skonstatowała:

– Za mało słodkie.

Mateusz jednak tego nie słyszał. Przeleciał przez pokój, pocałował córkę w policzek, Piotrusiowi zaproponował kieliszek koniaku, a gdy ten odmówił, rzucił pod jego adresem w stronę Karoliny: – Picuś-glancuś. – Przebrał się nie wiadomo czemu w swoje japońskie kimono z ptakiem i kwiatami wiśni na plecach i już go nie było. Dochodziły tylko jakieś odgłosy – z garażu, w którym majstrował coś przy samochodzie, z ogrodu, gdzie w niewiadomym celu przeciągnął ciężką metalową drabinę z jednego końca w drugi, wreszcie z salonu – włączył tam telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, a sam siadł na dywanie

pod swym własnym portretem pędzła pewnej jugosłowiańskiej malarki (malowała go z fotografii) i zaczął przeglądać porzucane wokół gazety.

– Tato, zaraz przyjdą goście – zauważyła z przyganą Maciejka. Mateusz nieuważnie odpowiedział:

– Tak, tak, już składam.

– Tato!

Nie reagował. Tylko ptak na jego kimonie poruszył skrzydłami.

Potem przyjechał Kraków i zrobiło się gwarno. Maciej – dość otyły czterdziestolatek o bardzo czerwonych, lekko spuchniętych wargach – demonstrował aparat cyfrowy i koniecznie chciał go komuś sprzedać, a czternastoletniego Stasia i pięcioletnią Muszelkę Karolina posadziła w kuchni przy stole, podsunęła im po kawałku piernika z lukrem i patrzyła, jak z niezmaconą niczym radością je pałaszują.

– Mam nadzieję, że nie chodzicie głodne? – zapytała nagle porażona myślą, że jej wnuki mogą nie dojadać. Ewa, jej synowa, prowadziła kuchnię wegetariańską, co Karolina uważała za rozbój w biały dzień. Kiedy tylko mogła, męła mięso i podawała dzieciom, mówiąc, że to soja. Aniele Stróžu, wiem, że to grzech kłamać... Ale dzieci jedzą, aż im się uszy trzęsą, słowo daję!

W domu synowi na pewno się nie przelewało. Ewa nie pracowała, a Maciej nie sprawdził się jako kapitalista. Kilka lat temu zaczął z kolegą sprowadzać z Czech ekologiczne trumny z tektury, żeby je sprzedać w objętej wojną Czeczenii. W chwili gdy nadszedł pierwszy transport, Czeczeni podpisali z Moskwą rozejm, trumny przestały być artykułem pierwszej potrzeby i Maciej splajtował, zanim jeszcze dorobił się czegokolwiek. Powrócił do liceum, gdzie wykładał filozofię i historię za taką pensję, że jak mówiła Karolina, śmiech bierze, w dodatku pusty śmiech. Mówiąc to, Karolina znacząco potrząsała ręką, jakby trzymała w niej pusty mieszek.

Andrzej, brat Mateusza, od progu ogłosił, że wygrał w toto-lotka dwieście złotych, i cieszył się jak dziecko. Wydawał krocie na gry losowe, zwłaszcza odkąd zaszył sobie w plecach espectral. Bo Andrzej był pijakiem. Przynieśli z żoną prezent: niewielkiego aniołka z porcelany, w pofałdowanej sukience, z ostro zakończonymi skrzydłami. Boże, ile tych gratów w domu, a tu kolejny anioł – myślała Karolina, biegnąc do kuchni pilnować placka w piecyku. Odkąd w mieście nastąpiła inwazja aniołów, dostawali je od wszystkich znajomych. Karolina chowała je do szuflady, bo nie było z nich żadnego pożytku, tylko się kurzyły. Jedynie smutnego aniołka o mięsistej pupie postawiła sobie na toalecie przy łóżku. Dostała go od Maciejki. Wystrugał go z drzewa oliwnego Arab chrześcijanin. Maciejce sprezentował aniołka amerykański Żyd, menedżer w wytwórni jazzowych płyt kompaktowych w Nowym Jorku. Poznała go, gdy medytował na ławeczce naprzeciw Grobu Chrystusa w Jerozolimie, a przy okazji zaczepiał dziewczyny; no, przynajmniej Maciejkę zaczepiał. Aniołka wręczył jej podczas wigilii, którą zjedli w Betlejem w jednej z restauracji niedaleko placu Narodzenia Pańskiego.

Karolina uwielbiała każdemu opowiadać tę historię. Dodała przy tym, wskazując na aniołka (wyraźnie przy tym rozdziałała sylaby):

– Kwint-esen-cja życia Maciejki.

Wybrany mówiała nawet, co jej córka i Amerykanin jedli na kolację.

– Steki! Krwiste! – W jej głosie nagana mieszała się z dumą.

– A w dodatku popijali winem!

Jeden taki aniołek wystarczy za tysiąc – myślała, otwierając piekarnik.

Kiedy znów zajrzała do salonu, Mateusza nie było, dzieci oglądały jakąś kreskówkę na kanale Cartoon, dorośli siedzieli wokół drewnianej ławy, na której stały miseczki z chipsami i duża butelka coca-coli, a Maciejka pokazywała im zdjęcia z Jerozolimy.

– Zaraz pod murem jest cmentarz muzułmański, o, tutaj dobrze go widać. – Fotografia przedstawiała rzędy jednakowych grobów z białego kamienia. – Wiecie, że muzułmanie chowają ludzi szybko, w ciągu doby, zawiniętych w biały całun?

– To ciekawe – zainteresowała się przelotnie Karolina. – Nie trzeba się męczyć z pogrzebem.

– A ja bym powiedział, że my, Słowianie, jesteśmy zauroczeni śmiercią – rzekł Maciej, delektując się swoimi słowami, przez co jego wargi wydawały się jeszcze bardziej czerwone, napęczniałe i w ogóle nieprzyzwoite. – To nas przykuwa do przeszłości, to nam nie pozwala lecieć do przodu, zdobywać. Ciągniemy po naszym życiu naszych zmarłych. Niepotrzebnie. Bo i po co?

– Ciągniemy? Ty przecież nawet nie wiesz, jak umarł twój dziadek! – trzeźwo zauważyła Karolina.

Niedostępne w wersji demonstracyjnej.

Zapraszamy do zakupu

pełnej wersji książki

w serwisie

